



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Mieczysław Szostak

Miałem ...naście lat

Wojna, wojna! Mam zaledwie czternaście lat. Właśnie ukończyłem szkołę podstawową. Nie znam jeszcze całej grozy tego słowa. Widzę niepokój i przygnębienie w zachowaniu moich rodziców. Panuje powszechna niepewność, chwilami strach, szczególnie u Żydów. Jeszcze nie widać paniki, chociaż zaczynają się już pojawiać uciekinierzy przynoszący dramatyczne wieści. Mnie jednak rozpira tylko jakieś niezwykle podniecenie. To ciekawość. Nie czuję lęku – przeciwnie wierzę, że zwyciężymy Niemców. Przecież z nami są Anglia i Francja. Biegam po ulicy z kolegą, chwytamy za ręce rówieśników i krzycząc „Anglia z nami, Francja z nami, Hitlerowi w dupę damy” – kopujemy ich równocześnie w tyłki. Do starszych wołam z przekonaniem, że Niemcom nie oddamy nawet guzika od rozporoka. W ten sposób objawia się mój patriotyzm, inspirowany szeptaną propagandą.

Wkrótce następuje psychoza szpiegomanii. Coraz to prowadzą na policję jakiegoś wystraszonego biedaka jako szpiega. Włączam się w to szaleństwo i po cichu doradzam jakiemuś podoficerowi, trzymającemu kolejnego ofermę w charakterze szpiega, żeby go zaskoczył. Trzeba mu zabrać dowód tożsamości i znieacka zapytać o nazwisko, imię i datę urodzenia. Jeżeli się pomyli, to niechybnie jest szpieg. Z dumą dodaję, że taka niezawodna metoda pozwoliła złapać autentycznego szpicla w sąsiedniej miejscowości.

Wzrasta zamieszanie i napięcie. Na niebie panują niepodzielnie niemieckie samoloty. Z wysoka błyszczą jak jakieś srebrne ptaki i są zupełnie bezkarne. Pociski z karabinów maszynowych odbijają się od ich kadłubów i splaszczone spadają na dachy domów i ziemię.

Niespodziewanie do Siennicy przylatuje kilka polskich samolotów. Jednak są one takie jakieś niepozorne i lecą tuż nad samą ziemią, jakby się bały. Po chwili ukradkiem lądują na folwarcznym polu, a właściwie rżysku i szybko chowają się pod osłoną lasu. I tak już tu pozostaną porzucone i bezużyteczne. Tylko nad jednym z nich zlitował się jakiś chłop, zaprzągnął konia i przyciągnął go na swoje podwórze.

Mieszkam w Siennicy – niewielkiej osadzie, chociaż z wielkimi tradycjami. Znajdują się tu: Urząd Gminny, posterunek Policji, dwa kościoły (jeden modrzewiowy na górze koło rynku i drugi murowany z przybudówkami klasztorными). Jednak chlubą osady jest Państwowe Gimnazjum – przedtem szeroko znane Seminarium Nauczycielskie. Mieści się ono w okazałym gmachu z własną elektrownią, nowoczesną infrastrukturą, oczyszczalnią ścieków istosunkowo dużym ogrodem botanicznym. Wszystko to zajmuje rozległy teren i wraz z zabudowaniami kościoła otoczone jest jak twierdza wysokim i bardzo długim murem. Niestety te walory obiektu powodują, że w czasie okupacji prawie zawsze stacjonują tu niemieckie jednostki wojskowe, a tymczasem gimnazjum ulega likwidacji.

Przed wojną Seminarium, a później Gimnazjum, ma zasadniczy wpływ na ukształtowanie postaw mieszkańców osady i gminy, a przede wszystkim poczucia godności, tolerancji i patriotyzmu. Zaowocowało to w czasie okupacji wyjątkowo rozwiniętą działalnością konspiracyjną, pomimo permanentnej obecności wojsk okupacyjnych. W tym czasie w Siennicy mieszka około tysiąca osób, w tym blisko jedną trzecią stanowią Żydzi.

Ponieważ Siennica leży na skrzyżowaniu dróg, nigdy nie omijają jej żadne kataklizmy, a w tym i działania wojenne. Tak jest i tym razem. A zaczęło się od bombardowania, chociaż nie ma tu żadnych obiektów strategicznych. Dlatego przed zbliżającym się frontem uciekamy do rodziny mieszkającej w maleńkiej wiosce cztery kilometry od Siennicy. Stoi tu zaledwie pięć skromnych chat i czworaki. Dojechać można do niej tylko jedną, nieprawdopodobnie wyboistą drogą. Pomimo, że nie było tutaj i nie ma żadnego polskiego żołnierza, niespodziewanie rozpoczyna się strzelanina i słychać warkot czołgów. W popłochu każdy się chowa gdzie popadnie. Widzę Stasię, jak zatkała sobie uszy i głowę wsadza pod krzeselko, na którym leży trochę łachów. Cała reszta jest wystawiona na niebezpieczeństwo. Pomimo grozy sytuacji nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Ktoś szepcze – „przestań, bo ściągniesz Niemców”. Nagle następuje niesamowita cisza. Po chwili wszyscy ciekawi wyłażą z kątów. Przez okno widać stojący koło czworaków czołg, a przy nim kilku niemieckich żołnierzy. Nie wiemy, co dalej robić. Wtem mama, w obawie przed kolejną strzelaniną i groźbą spalenia domu, chwytą pudełko czekoladek i idzie odważnie ku żołnierzom. Częstuje ich. Oni biorą. Co prawda nie zna niemieckiego, jednak na migi próbuje im wytłumaczyć, że tu nie ma żadnego wojska. Po chwili czołg rusza i przejeżdża przez wioskę. Jednak po minięciu ostatniego zabudowania nagle staje i zaczyna strzelać do samotnego mężczyzny, który usiłuje się schować za samotnie stojącą, polną gruszą. Tak na oko znajduje się ona około trzystu metrów od czołgu. Po upewnieniu się, że go już definitywnie nie ma, biegniemy z ojcem do gruszy. Pień jej został dokumentnie obłuskany kulami z kory. Obok leży martwy cywil. Dla mnie jest to o tyle wstrząsające, że jest to pierwszy zastrzelony człowiek i pierwsza ofiara tej wojny, jaką w ogóle widzę. Szczególne wrażenie na mnie wywiera noga rozdarta kulą od kostki do kolana.

Jeszcze tego samego dnia wracamy pośpiesznie do domu. Po drodze mijamy wieś Łękawice, gdzie płoną zabudowania gospodarskie. W dole, wykopany przez same ofiary, leży rozstrzelanych dwudziestu dwu mężczyzn. Jest to odwet za zabitego przez wojskowy patrol polski łącznika niemieckiego, który jechał na motocyklu. Za karę spędzono mężczyzn z całej wsi. Po jednej stronie rozkazano stanąć mieszkańcom wsi, a po drugiej przyjeźdnym i Żydom. Niektórzy wielokrotnie przebiegali z grupy do grupy, bowiem nie wiedzieli, która z nich poniesie konsekwencje za śmierć Niemca. Spośród rozstrzelanych ratuje się tylko jeden młody Żyd, który pierwszy przewrócił się do dołu, w którym pokryły go ciała zamordowanych mężczyzn.

Zjeżdżamy z górki do mostku nad niewielkim strumieniem. Tuż za nim, po lewej stronie rośnie sosnowy zagajnik, zwany Kępą. Obok w przydrożnym rowie, oparty o zbocze, siedzi zabity polski żołnierz. Wygląda jakby spokojnie spał. Bez słowa i w milczeniu jedziemy dalej. Po prawej stronie mijamy cmentarz, na którym odbywa się pochówek.

Nad Siennicą widać pożary i dymy. Przy wjeździe, naprzeciw murowanego kościoła, stoi rozbita polska tankietka. Na szczęście nasz drewniany dom ocalał, jak również murowana wytwórnia, a pod nią piwnice, w których chronili się Żydzi wraz ze swoim dobytkiem. Niestety w domu wszystko jest zdemolowane. Nasze przedmioty i towary są dokumentnie wymieszane z lokatorskimi, a powyłamywane drzwi tworzą przeszwit przez cały budynek.

Tymczasem Niemcy pędzą do niewoli tysiące żołnierzy i cywilów, w tym wielu naszych znajomych, którzy widząc nas wołają: „Wody, wody!”. Widać, że są niesamowicie zmęczeni, osowiali, głodni i spragnieni. Ponieważ uratowaliśmy kilka skrzynek makaronu z naszego sklepu, gotujemy go, następnie porcjujemy, wkładamy do papierowych torebek i rozdajemy jeńcom. Jednocześnie w wiadrach mamy wodę, którą podajemy równocześnie w czym się tylko da. Gdy skończył się makaron, gotujemy kaszę gryczaną, która miała służyć do wyrobu kaszanek i rozdajemy ją w podobny sposób, dopóki się nie skończy.

W tydzień po wejściu wojsk niemieckich nagle pojawia się w Siennicy oddział wojska polskiego – w pełnym rynsztunku i z taborami. Widać, że jest wypoczęty i dobrze wyposażony. Powstał popłoch, że znowu zaczną się działania wojenne. Przerażeni mówimy im, że już od kilku dni stacjonuje tu Wehrmacht. Było to dla nich całkowitym zaskoczeniem – jakby spadli z innej planety. Złożyli więc szybko broń na wozy i pojechali się poddać.

Okupacja

Wojna szybko dobiega końca i zaczyna się długa i mroczna okupacja. Następuje niebywały terror fizyczny i psychiczny. Odbywają się pokazowe egzekucje, przeważnie za posiadanie broni, najczęściej

zupełnie przypadkowej, której wszędzie jeszcze wiele się wałało. Ma to na celu zastraszenie i bezwzględne podporządkowanie Polaków niemieckiemu drylowi i procesom eksterminacji.

Pierwsza pokazowa egzekucja odbywa się na rynku, w obecności spędzonych mieszkańców Siennicy. Po odczytaniu dla porządku wyroku, pluton egzekucyjny strzela salwą do skazanego, który osuwa się na ziemię. Następnie dowódca plutonu sprawdza puls skazanego i dobija go strzałem w głowę z pistoletu. Wszystkie następne egzekucje odbywają się w miejscu zwanym kaźnią, za murem. W jego zachodniej części mieści się wąska furta, za którą wkopany jest specjalny słup. Do niego właśnie przywiązywano skazanych, a następnie rozstrzeliwano ich. Jeszcze przed wyzwoleniem słup ten, zbrzygzany krwią, zniknął w nieznanych okolicznościach. Przypuszczalnie usunęli go sami Niemcy, jako dowód popełnianych zbrodni.

Pewnego dnia wystraszona sąsiadka powiedziała nam, że w ogródku, w warzywach, leży coś zielonego i dużego. Okazało się, że jest to plecak wojskowy, niesamowicie wypchany prawdziwymi skarbami: papierosami, alkoholem i czekoladą. Wówczas za te rzeczy można było wiele załatwić. Jednak my w obawie przed konsekwencjami wyrzucamy go za płot. Gdy następnego dnia zreflektowaliśmy się i pokusa wzięła górę nad strachem, wracamy po niego. Niestety, wcześniej lituje się nad nim uradowany sąsiad, który traktuje go jako dar niebios. Później sprzedaje nam plecak z całą zawartością.

Ponieważ Gimnazjum w Siennicy nie działa, podejmuję naukę w Mińsku, w prywatnym Gimnazjum Kupiecko-Handlowym.

Zbliża się pierwsze święto zmarłych w okupowanej Polsce. Z tej okazji na cmentarzu w Mińsku porządkujemy groby żołnierzy polskich poległych w tej wojnie. Po powrocie do domu natychmiast organizuję podobną akcję w Siennicy. Spośród swoich koleżanek i kolegów wybieram grupkę pewnych przyjaciół, z którymi na cmentarzu w Siennicy porządkuję mogiły wojskowych i cywilów, ofiar kampanii wrześniowej. Większość grobów jest w tym samym miejscu cmentarza, a nawet w tym samym rzędzie, tyle że nierównym. Zatem trochę je wyrównujemy, tworząc wspólną mogiłę, a brzegi okładamy darnią. Tak przygotowany grób zdobimy emblematami, chorągiewkami z białej i czerwonej krepiny. Następnie palimy znicze. Nie wszystkim to się jednak podoba. Niektórzy, bardziej strachliwi mówią, że prowokujemy Niemców do restrykcji. Inni natomiast mają łzy w oczach i w różny sposób wyrażają nam uznanie i wdzięczność.

Jeden z grobów wojskowych leży oddzielnie, w północno-wschodniej części cmentarza. Właśnie tu spoczywa żołnierz, którego widzieliśmy w Kępie w czasie powrotu do domu. Uważam uporządkowanie go za swoją osobistą powinność. W czasie tej czynności podchodzi do mnie staruszka – prawdopodobnie matka zastrzelonego. Jest wzruszona i płacze. Z wdzięczności chce mnie całować po rękach. Jestem zażenowany i nie pozwalam. Jednak po tym fakcie nie mam już wątpliwości, że porządkując w tym czasie groby ludzi, którzy oddali życie w kampanii wrześniowej, w nierównej walce, postępuję właściwie.

W jednym z pomieszczeń klasztornych działa kółko ministrantów, którego przewodniczącym jest mój kolega i przyjaciel Marian. Jestem jego członkiem. Zaczynamy tutaj pracować nad różnymi wynalazkami. Marian jest głównym konstruktorem, ze względu na niebywałą wprost smykałkę do elektromechaniki. Ja głównie finansuję pomysły oraz pomagam przy ich realizacji. Na początek zajmujemy się konstrukcją epidiaskopu. Jednocześnie – jak to chłopcy i do tego w stanie okupacji –eksperymentujemy z różnymi przedmiotami, służącymi do strzelania. Niestety, jeden z nich przypadkowo się rozrywa, raniąc kolegę w klatkę piersiową i rękę tak, że obrywa mu palec. Pomimo to ponosi nas chęć działania i dokonywania bohaterskich czynów. Postanawiamy zatem, że Marian przedostanie się za granicę, do aliantów. Zgodnie z planem wyjeżdża. Oczywiście bez niczyjej wiedzy i zgody. Po wielu tarapatach dostaje się do Francji, do strefy okupacyjnej, gdzie postawiono mu do wyboru: albo Legia Cudzoziemska, albo Niemcy. Wybrał oczywiście bez wahania to pierwsze. W Afryce przy pierwszej nadarzającej się okazji ucieka do Amerykanów. Następnie po przeszkoleniu w Anglii dostaje się do korpusu lotniczego i jako strzelec ogonowy uczestniczy w nalotach na Niemcy. Po wojnie wraca do Polski jedynie z pudełkiem kartonowym od butów, pełnym odznaczeń bojowych. Wiele lat później ginie w niewyjaśnionych okolicznościach, niedaleko domu, przy ulicy Grochowskiej. Szkoda, bo był niezmiernie ciekawą i barwną postacią i miał jeszcze ogromną pasję życia.

Wkrótce rozpoczyna się pacyfikacja Żydów, wśród których w Siennicy przeważa biedota. Na początek obowiązek noszenia opasek z gwiazdą, ograniczenie swobody poruszania się oraz różne drobne represje. Wszyscy starzy i młodzi Żydzi muszą w trybie natychmiastowym zgolić brody. Tym, którzy tego nie zrobili w terminie, Niemcy wyrrywają brody i pejsy żywcem, nożycami do strzyżenia owiec. W końcu i tak wszyscy, tylko z podręcznym dobytkiem, zostają wywiezieni do getta. W Mińsku, w czasie likwidacji getta, Niemcy w barbarzyński sposób wymordowali ukrywających się bądź uciekających Żydów. Pozostaje przy życiu jedynie grupa rzemieślników, potrzebnych okupantowi doraźnie do różnych prac. Umieszczono ich w budynku szkoły podstawowej przy ulicy Siennickiej. Gdy stają się już

niepotrzebni, żandarmi podpalają budynek wraz z nimi. Do tych, którzy próbują wyskakiwać oknami z płonącego domu, strzelają jak do kaczek.

W tym czasie zaczynają przyjeżdżać tak zwani wygnańcy – głównie z województw zachodnich, anektowanych przez Trzecią Rzeszę. Polacy, podobnie jak Żydzi, są w sposób bezwzględny przesiedlani do Generalnej Guberni tylko ze skromnym bagażem. Wzrasta nienawiść i opór przeciwko niemieckim metodom ucisku i eksterminacji obywateli polskich. Pełen determinacji – marzę o odwecie, chociaż jeszcze nie mam specjalnych możliwości. Zaczynam więc od małej dywersji gospodarczej – tej formy walki, na jaką mnie w tym momencie stać.

Uczęszczanie do gimnazjum nie chroni przed wywiezieniem na roboty przymusowe. Wszyscy musimy być gdzieś zatrudnieni, aby posiadać kartę pracy. Koleżanki i koledzy przeważnie pracują w biurach, magazynach oraz sklepach folksdojczów. Towary pochodzą głównie z likwidowanych sklepów żydowskich – po prostu z rabunku.

Jako jedyny miałem fikcyjną kartę pracy na zatrudnienie w naszej wytwórni. Mając wolny czas pomagam kolegom w umniejszaniu niemieckich dóbr doczesnych. Tam, gdzie koledzy mają dostęp do kas, robię drobny zakup, płacąc najniższym banknotem, a reszty otrzymuję, jak z największego nominału. Ponieważ operacje te wciąż powtarzam, jak na ironię staję się niemal stałym klientem szkopskich sklepów. Tam, gdzie właściciel opuszcza sklep chociaż na chwilę, wpadam z torbami i ładujemy tyle towarów, ile tylko zdołam unieść. Na lewe kwity, załatwiane przez koleżanki pracujące w biurach, wywozimy z magazynów niemieckich siemię lniane, cukier oraz inne produkty. Niestety następuje przykra wpadka. Unikamy wprowadzić oddania nas w ręce gestapo, ale rodzina musi to zrekompensować odpowiednimi produktami i pieniędzmi. Tak niechlubnie kończy się ta forma gnębienia okupanta.

Wielu z naszych profesorów już aktywnie działa w konspiracji. Należy do nich przede wszystkim bardzo lubiany przez nas nauczyciel polskiego. Jako powiatowy inspektor Armii Krajowej jest tak przemęczony działalnością konspiracyjną w terenie, że w czasie lekcji zasypia na stojąco. Wtedy siedzimy bardzo cicho, prawie bez oddechu, aby chociaż trochę mógł odespać noc i zregenerować siły. Najczęściej po chwili budzi się i zaczyna zajęcia dokładnie w tym miejscu, w którym je przerwał, gdy zmógł go sen. W końcu doszedł do takiej perfekcji, że śpiąc mówił – co prawda bardzo wolno – a nawet odpytywał z przerobionego materiału. Staramy się dobrą nauką i zachowaniem wynagrodzić mu jego trud konspiracyjny. Komuś z boku mogłoby się wydawać, że zamyka oczy, bo mierzi go nasz widok. A była to klasa wyjątkowa. Dziwna ze względu na rozpiętość wieku oraz skład socjalny i pochodzenie. Niektórzy mieli już za sobą nawet po dwie klasy przedwojennego ogólniaka. Znaczna część wywodziła się z rodzin znanych powszechnie przemysłowców, lekarzy, prawników i w ogóle inteligencji. Inni pochodzili z biedoty chłopskiej, z dalekiej prowincji i rodzin robotniczych. Uczniowie bardzo się różnili na optykę, w sposobie zachowania, ubioru i higieny osobistej. Pomimo to klasa była wyjątkowo solidarna i spójna wspólnym nieszczęściem, jakim była niemiecka okupacja. Większość z nas marzy o działalności konspiracyjnej, o wstąpieniu do partyzantki. Na początku nie dla wszystkich jest to osiągalne, ze względu na młody wiek, brak odpowiedniego kontaktu i często opór rodziny, która w razie wpadki, również ponosiła konsekwencje. W rezultacie, już w starszych klasach, większość spełniła te marzenia, ale za cenę późniejszych aresztowań, bądź długiego ukrywania się. Niestety również profesor polskiego został aresztowany i rozstrzelany przez gestapo.

W naszej wytwórni pracuje Tadeusz, wspaniały choć bardzo skromny człowiek, który przeżył kampanię wrześniową, walcząc przeciwko Niemcom jako żołnierz w plutonie karabinów maszynowych, a następnie za Bugiem przeciw wojskom radzieckim. Obserwując go zauważyłem, że jak jest jakaś akcja przeciwko okupantom lub policji, to nie nocuje w domu. Stąd prosty wniosek, że jest w konspiracji. Ponieważ się wyraźnie lubimy, postanawiam tą drogą dostać się do konspiracji. W czasie takich akcji przerywana jest wszelka łączność Siennicy lub każdej innej miejscowości ze światem. Wtedy bezpośrednio atakowano posterunki policji. W urzędach gminnych niszczone wszelkie dokumenty dotyczące kontyngentów oraz listy osób wytypowanych na przymusowe roboty do Prus.

Na teren naszej gminy często wpada znienacka karna zmotoryzowana kolumna gestapo, która szerzy terror, pali domy i osiedla oraz morduje ludzi. W czasie jednego z takich nalotów na Siennicę gestapo łapie sąsiada – nauczyciela działającego w konspiracji. Katują go i biją drewnianymi kołkami, że aż pękają mu żebra i wychodzą przez skórę. Kiedy traci przytomność polewają go wodą ze znajdującej się obok studni i biją na nowo, do utraty przytomności. Pomimo to nikogo i nic nie wydaje. Wreszcie uznają, że jest już martwy i zostawiają go. W rezultacie kona jeszcze przez dwa dni.

Tego właśnie dnia z samego rana Tadeusz jedzie na wieś po zaopatrzenie, głównie mięso. Nastaje zmrok. Zbliża się godzina policyjna. Gestapo szaleje, a jego jeszcze nie ma. Wsiadam więc na rower i pędzę co sił, żeby go ostrzec przed powrotem do domu. Po kilkunastu minutach, gdy zjeżdżam już do Kępy, widzę za sobą światła jadącej za mną karnej kolumny. Nie mam czasu na ucieczkę. Błyskawicznie podjeżdżam jeszcze kilkadziesiąt metrów pod górkę i padam z rowerem do przydrożnego rowu.. Na szczęście jest już na tyle ciemno, że mnie nie widzą, a światła samochodów mnie nie sięgają, gdyż

jestem wyżej, na górze. Gestapowcy zatrzymują się w Kępie i po chwili słychać strzały. Zrywam się i uciekam rowerem jak mogę najszybciej i najdalej. Docieram wreszcie do rodziny i dowiaduję się, że Tadeusz odjechał do domu godzinę temu. Zaraz pomyślałem, że dojechał do Kępy równocześnie z gestapo i że to właśnie do niego strzelali. Nie mogę doczekać się rana. Skoro świt pędzę rowerem do Kępy szukać jego ciała. A może jest tylko ranny? Nareszcie Kępa. Już z daleka widzę Tadeusza, jak pochylony czegoś gorączkowo szuka. Przez chwilę pomyślałem sobie, że zbiera grzyby, a ja głupi tak się o niego martwiłem. Zawołałem ucieszony. Tadeusz spojrzał na mnie jakoś dziwnie i przeżegnał się. Myślę sobie – „czy on ma po kolei w głowie?”. Pytam: „co ty tu tak rano robisz, czego szukasz?”. Ano właśnie ciebie. Z ogromnej radości serdecznie uściskaliśmy się i szybko wracamy do domu. Opowiada mi jak przeczornie wracał do domu polami, a następnie wzdłuż strumienia, pod osłoną drzew i krzewów. Gdy był już niedaleko Kępy, zobaczył światła samochodów i natychmiast się ukrył. W tym momencie Niemcy zaczęli strzelać. Początkowo prerażony myślał, że to do niego. Do domu wraca grubo po północy. Natychmiast pyta mamę co ze mną. Wtedy dowiaduje się, że wyjechałem tuż przed dwudziestą, aby go ostrzec przed powrotem. Tak więc nie ma wątpliwości, że to właśnie do mnie strzelało gestapo. Wcześniej rano, nic nie mówiąc rodzicom, przyjeżdża do Kępy szukać mnie żywego bądź umarłego. To wspólne przeżycie jeszcze bardziej nas zbliżyło i umocniło wzajemne zaufanie. Wtedy wyznałem mu, że pragnę wstąpić do partyzantki. Po niezbyt długim czasie oznajmia mi, że zostaję przyjęty do Armii Krajowej. Następnego dnia przychodzi z porucznikiem Jankiem i w konspiracji przed rodzicami, w piwnicach naszej wytwórni, składam przed nimi przysięgę na Krzyż i Biblię. Przyjmuję pseudonim „Mek”. Przy okazji zapoznają mnie z działaniem miny magnetycznej do wysadzania niemieckich pojazdów oraz pistoletem.

Początkowo prawie wszyscy w konspiracji otrzymywali broń, bądź ją zdobywali. Później po wielu wypadkach, najczęściej z głupoty, nie przestrzegania zasad konspiracji, broń zmagazynowano i wydawano tylko na czas akcji. Wyjątek stanowili oficerowie i służby specjalne. Ja odtąd mam spełnić funkcję łącznika. Niestety, wkrótce porucznik Janek ginie, jako dowódca obstawy radiostacji. W czasie zasadzki tak zostaje posiekany kulami przez gestapo, że ciało trzeba wiązać ręcznikami, by móc złożyć je do trumny. W ten sposób moim instruktorem pozostaje głównie Tadeusz. Prowadzi ze mną zajęcia z regulaminu msztry. Zajęcia z taktyki odbywają się głównie w terenie, podczas wycieczek i spacerów.

Jako łącznik przewożę meldunki do dowódców oddziałów terenowych. Z zasady są to nauczyciele wiejskich szkół, bądź właściciele sklepów. Na ogół moje przyjazdy nie budzą podejrzeń, bo związane są z działalnością handlową wytwórni. W sklepach, w obecności klientów, z zasady zaczynam rozmowę z właścicielem na temat dostaw i zwrotu opakowań. Później przechodzimy na zaplecze, gdzie wręczam im meldunki. Zawsze są to małe kieszonki z bibułą, które idealnie mieszczą się w klamrze paska. Nigdy nie znam ich treści, aby w razie wypadki i torturowania podczas śledztwa nic faktycznego nie móc zdradzić. Meldunki muszą doręczać wyłącznie do rąk własnych adresata. Jeżeli go nie zastaję, czekam aż do skutku. Stąd nieraz zdarzało mi się wracać ciemną nocą, dawno po godzinie policyjnej. Najbezpieczniej jest iść, nie drogami a polami, najlepiej przez lasy, bo tam na ogół nie ma żandarmów. Działalność moja na tyle jest niebezpieczna, że wypadka któregośkolwiek z moich adresatów może prowadzić do mojej dekonspiracji – z wiadomymi skutkami.

Do gimnazjum w Mińsku dojeżdżam rowerem. Z wyjątkiem zimy, kiedy jestem na tak zwanej stacji. Jedno i drugie jest złem koniecznym. Codzienne dojazdy rowerem, prawie czternaście kilometrów w jedną stronę, w połowie przez lasy, stwarzają przeróżne zagrożenia. Wielokrotnie jestem zatrzymywany przez żandarmów, następnie legitymowany i rewidowany. Na szczęście unikam pobicia lub aresztowania. Natomiast pobicie przydarza mi się w samej Siennicy – przez żołnierzy Wehrmachtu – na szczęście niezbyt groźne.

W drodze do – i ze szkoły często mijamy handlarzy, którzy ryzykując życiem wiozą na rowerach nieraz po kilkadziesiąt kilogramów rąbanki. Rowery obciążone ponad miarę są mało stabilne i bezwładne, a z górki mkną jak rakiety. Pewnego razu, gdy zmęczony wracam do domu, widzę jak z położonej na górze Siennicy na bujającym się rowerze sunie wprost na mnie taki właśnie handlarz. Nie wytrzymałem nerwowo i chcąc mu ustąpić miejsca zjeżdżam na lewo, a on też i w rezultacie wali we mnie. Obydwaj leżymy. Zrywa się wściekły i kulejąc biegnie do mnie. Ze strachu nie ruszam się, chociaż z czoła sączy mi się krew. Spojrzał na mnie i woła do swoich kumpli: „Cholera, chyba zabiłem szczeniaka”. Pośpiesznie uciekają, a ja poturbowany z trudem wlokę się do domu.

Okazuje się, że również dla nas, dla młodzieży, niebezpieczne są dojazdy do szkoły pociągami. Mój szkolny kolega i przyjaciel, Wojtek, wpada pod koła pociągu, zepchnięty przez spekulantów. Początkowo nie czuje żadnego bólu, gdy jednak podnoszą go z torów, zdziwiony woła: „O rany, tam została moja noga!”.

Pobyt na stacji przysparza wielu innych problemów. Z zasady regulowany jest produktami żywnościowymi, w ramach których otrzymuję jeden gotowany posiłek. Śniadanie i kolację organizuję we własnym zakresie. Niekiedy posiłek nie jest adekwatny do przekazywanych przez rodziców produktów, lecz nigdy nie protestuję, bowiem w tym czasie w ogóle nie ma szans na racjonalne odżywianie się.

Na szczęście bez względu na pogodę i wszelkie inne przeszkody, jeżdżę co sobotę do domu, gdzie regeneruję się fizycznie i psychicznie.

Ostatnio wraz z kolegą mieszkam u starszej pani, której dom znajduje się na terenie zlikwidowanego getta. Jedyne jej syn siedzi w obozie koncentracyjnym za działalność konspiracyjną. Teren ten jest szczególnie patrolowany ze względu na magazyn rzeczy pożydowskich, znajdujący się w dużej synagodze, obok domu w którym mieszkamy. Nocą nastrój jest niesamowity – wokół jakaś upiorna cisza i tylko wiatr z szelestem roznosi walające się wszędzie papiery i śmieci. Chwilami widzę (a może to tylko złudzenie?) sylwetki Żydów opartych o dom, bądź stojących w zupełnym bezruchu i milczeniu. Po godzinie policyjnej trudno jest bez dużego ryzyka przeskoczyć z domu do domu, w którym mieszka moja sympatia i przyjaciel Sławek. Pomimo to często ryzykujemy. Wtedy najczęściej najpierw biegnę ja. Jeżeli nikt nie krzyczy i nie strzela, biegnie za mną kolega. Pewnej nocy w podobnej sytuacji nie udało się i dopada nas policjant. Kolega próbuje się jeszcze cofnąć za dom – wtedy policjant strzela. Na szczęście chybi. Pewnie tylko dlatego, że jest kompletnie pijany. W końcu prowadzi nas na komisariat, ciągle trzymając w wyciągniętej ręce pistolet. Kolega straszliwie wystraszony idąc poprुकuje. Policjant już pojednawczo i wielce kurtuazyjnie mówi: „No nie srać, nie srać”.

Z kolei innego kolegę, Stasia, który od nas wychodzi po wspólnej nauce, lecz już po godzinie policyjnej, łapie żandarm. Natychmiast stawia go pod drzewem i chce do niego strzelać. Kolega z przerażeniem krzyczy, że wszystko mu odda, byleby go nie zabijał. Żandarm opuścił broń i pyta się, co mu zatem odda. Pieniądze – odpowiada kolega. Ile? Sto złotych. Żandarm roześmiał się i ponownie unosi broń. Kolega licytuje: trzysta, pięćset, tysiąc i dopiero wtedy żandarm chowa broń. Pieniądze dostaje od jego starych opiekunek, które mówią po niemiecku, a mimo to o mało nie umarły z wrażenia.

Również i w biały dzień nie jest zupełnie bezpiecznie. Przekonujemy się o tym, gdy w samo południe idziemy z kolegą Sławkiem na znajdujący się obok rynek, który wydaje się nam jakoś dziwnie pusty, jak na tę porę. Okazuje się, że jest łapanka na przymusowe roboty do Prus. Wtem biegnie do nas żandarm, w kożuchu do góry włosiem, żeby był mniej widoczny i wrzeszczy: „Halt, halt!”. Ja oczywiście nie skorzystałem z tego zaproszenia i cofnąłem się za budynki. Kolega natomiast zaczyna ścigać się z żandarmem przez rynek w stronę kościoła i cmentarza. Żandarm cały czas strzela do niego, jak do zająca i w końcu wraca sam, zmęczony i srodze zawiedziony. Wstrzelał cały magazynek z niewielkiej odległości i nic nie upolował. Skompromitowany wsiada do samochodu i wraz z innymi oraz pustą budą do przewożenia złapanych, szybko odjeżdża. Korzystając z tego szybko biegnę w stronę cmentarza. Nie jest dobrze. Znajduję kolegę silnie krwawiącego, z kulą w pośladku. Z wysiłkiem wraca do domu, skąd opiekunka odwozi go do szpitala. Operacja wiąże się z dużym ryzykiem dla lekarzy. W końcu pocisk zostaje wyjęty, lecz Sławek długi czas choruje z powodu znacznego upływu krwi.

W okresie bezpośrednio poprzedzającym wojnę Niemiec ze Związkiem Radzieckim zajęcia mamy przejściowo na parterze drewnianego domu, który od jezdnii oddziela zaledwie wąski chodnik. Właśnie wtedy bez przerwy, przez kilka tygodni, przemieszczają się w kierunku Brześcia kolumny pancerne wojsk niemieckich. Hałas jest tak wielki, że uniemożliwia prowadzenie zajęć. Wkrótce wracamy do naszego budynku przy ulicy Kościuszki. W bezpośrednim jego sąsiedztwie powstaje obóz dla jeńców radzieckich. Początkowo przez ogrodzenie oddajemy im do jedzenia nasze drugie śniadania i wszelkie pożywienie, jakie udaje się zdobyć. Jednocześnie grupa pań spontanicznie gotuje zupy i zanoszą do obozu. Hitlerowcy wprost nieludzko traktują jeńców i w końcu zabraniają udzielania jakiegokolwiek pomocy. Z głodu jeńcy wyjadają korzonki resztek trawy. Na naszych oczach umierają z głodu. Wreszcie obóz ulega likwidacji.

Powszechnie panuje niesłychana nędza i głód. Wszystkie niezbędne do życia artykuły są tylko na kartki i to w symbolicznych ilościach. Ukrywający się Żydzi nocami wyjadają nawet resztki karmy przygotowanej dla kur. Do dziś słyszę, jak pięcioletni synek samotnej sąsiadki całymi godzinami chodzi za nią i z płaczem woła: „Marno chleba!”. Ci, którym pozwalają warunki – hodują króliki. Inni, ryzykując życiem, spekulują i handlują wszystkim, czym się tylko da. Stąd niektóre, przeważnie samotne kobiety, na ogół bez warunków do życia, zmuszone są często do uprawiania nierządu z żołnierzami niemieckimi. Przez to spotykają się z ogólnym potępieniem i najczęściej są napiętnowane przez partyzantów stryżeniem głowy lub tylko pasa przez całą głowę.

Powszechna jest produkcja bimbru, najczęściej w polu w krzakach. Ponieważ upijanie się nim prowadzi często do wysp i dekonspiracji, partyzanci nagminnie niszczą instalacje destylacyjne i zaciery. Również i gestapo niszczy bimbrownie i karze, ale raczej z pobudek gospodarczych.

Brakuje środków czystości. Mydło jest tylko na kartki i to w skąpych ilościach, o odrażającym wyglądzie i zapachu. Konsystencją i skutkami działania przypomina kostki łu. Fama głosi, że jest robione przez Niemców z ludzkiego, a dokładnie żydowskiego tłuszczu. W tej sytuacji mama robi mydło we własnym zakresie z łożu i z udziałem sody kaustycznej.

Z braku nafty do oświetlania pomieszczeń powszechnie używane są karbidówki, nieraz bardzo prymitywne, które przy nieumiejętnym obchodzeniu się wybuchają, stwarzając zagrożenie dla zdrowia lub nawet życia.

W wytwórni do produkcji napojów nie wolno już używać cukru, a w późniejszym czasie nawet sacharyny, tylko dulcyne, a zamiast naturalnego kwasu – ocet.

Ludzie nie tylko cierpią głód, ale również nie mają się w co ubierać. W nieskończoność reperują i przerabiają starą odzież i obuwie. Stąd w czasie stacjonowania w gmachu gimnazjum własowców, żołnierzy radzieckich, którzy przeszli na stronę niemiecką, nastąpiła swoista ich metamorfoza. Na kilka dni przed wcieleniem do armii niemieckiej mają otrzymać nowe mundury, a zdać stare, które są uszyte ze stosunkowo niezłego sukna, w kolorze błękitno-zielonym. Dlatego własowcy nagminnie wymieniają je za bimber, pieniądze i żywność. Ponieważ do koszar nie mogą wracać zupełnie nago, więc ubieramy ich w strzępy najgorszych łachów, zniszczone obuwie, przeważnie stare drewniaki. Dla bezpieczeństwa transakcje te odbywają się na terenie neutralnym, najczęściej w bramach i bezpiecznych budach. Wchodzą jako żołnierze, a wychodzą jako niesamowici oberwańcy, dziwnie podrygując, w za ciasnych butach i za krótkich spodniach. W końcu Niemcy straszliwie się wściekli, widząc swoich przyszłych „kameraden”, podporę armii niemieckiej, paradujących w łachmanach i prawie boso.

Tymczasem w okolicy zapanowała niezwykła moda: ludzie paradowali w błękitno-zielonych garniturach i wojskowych butach. Na wszystkich rolników są nałożone obowiązkowe kontyngenty, to znaczy, że w określonym miejscu i czasie muszą dostarczyć wyznaczone im odpowiednie ilości mięsa, zbóż i warzyw. W razie nie wywiązania się z tych dostaw są bezwzględnie karani, między innymi dziećmi ich są kierowane na przymusowe roboty do Prus. Pewnego razu z takich właśnie powodów przyjechał z Mińska wystraszony folksdojcz. Zwrócił się do moich rodziców z prośbą, aby mógł pracować w naszym domu zamiast w Urzędzie Gminnym. Powoływał się przy tym na swojego syna, który mówił mu rzekomo, że zna mnie ze szkoły. Przy okazji udało się mojej mamie wybronić kilka osób przewidzianych na przymusowe roboty. Tuż przed wieczorem przyjechała tak zwana podwoda, aby go z powrotem odwieść do Mińska. Furman powozi na przodzie, natomiast gruby folksdojcz siedzi rozparty na środkowym siedzeniu. Po niecałej godzinie furmanka wraca z powrotem tyle, że folksdojcz już nie siedzi na siedzeniu, tylko obsunięty na podłodze, z dziurką w głowie po kuli. Okazuje się, że po drodze partyzanci wykonali na nim wyrok. Kieruję ich więc na Posterunek Policji w Siennicy. Chociaż jest późna noc, policja odsyła z powrotem furmankę do Mińska, jednocześnie bojąc się ją eskortować. Uważają zapewne, że zabitemu już nic gorszego nie może się przytrafić, a im tak. Natomiast furman, jak widać, jest całkiem bezpieczny i ma już zupełnie spokojne towarzystwo. W końcu mama domyśla się, że jestem w konspiracji, natomiast ojciec wie na pewno i wspomaga finansowo partyzantów.

Wyzwolenie

Od wschodu zbliża się szybko front, a z nim nadzieja na rychłe wyzwolenie. Cokolwiek nastąpi nie będzie już gorsze od tego co jest. Mija prawie pięć długich i mrocznych lat niemieckiej, koszarnej okupacji, ciągłego zagrożenia życia, biedy i poniżenia. Byłe Niemiec w naszej zniewolonej Ojczyźnie, w naszym domu rodzinnym, jest bezkarnym sędzią i katem. Dlatego rozpięta mnie satysfakcja, że nareszcie jest taka siła, która karze i niszczy tych obłądnych zbrodniarzy.

Dla bezpieczeństwa śpiemy z Tadeuszem w wytwórni. On jest tak zmęczony, że nawet bombardowanie Siennicy go nie budzi. Wstaję, szarpie go za ramię i krzyczę, że jesteśmy bombardowani, lecz sam kładę się z powrotem do łóżka. Dopiero, gdy bomba spada w naszym ogrodzie, podrywamy się na równe nogi.

Dotychczas sprzyja mi szczęście i dopiero przed samym wyzwoleniem wpadam podczas powrotu z ostatniego już zadania. Na ulicy zatrzymuje mnie patrol Wehrmachtu. Gdy próbuję wyjaśnić, że przecież jeszcze nie godzina policyjna. Słyszę tylko „raus!”. Jednocześnie dostaję kolbę karabinu w prawy bok. Padam na jezdnię, na bruk. Drugi z żołnierzy, wrzeszcząc, kopie mnie między innymi w prawe udo. W obawie przed dalszymi razami z trudem się podnoszę. Poszturchując i popychając, pędzą mnie w stronę gimnazjum, gdzie stacjonuje jednostka Wehrmachtu. Wchodzimy do drewnianej wartowni, baraku, który stoi przy bramie wjazdowej. W czasie rewizji wkładają mi do kieszeni bluzy magazynek z nabojami. Następnie tryumfalnie wyciągają go grożąc nim. Tłumaczę, że to nie należy do mnie. Wtedy dostaję nim w głowę. W wyniku tego splywa mi intensywnie krew pomiędzy szyję i kołnierz. Tworzy się duży skrzep. Przy tym ciągle wrzeszczą na mnie, popychają i poszturchują. Żeby ich nie denerwować kompletnie milczę. Wreszcie dają mi spokój, więc siadam na ławie pod ścianą i czekam co będzie dalej.

Rano kolejny patrol prowadzi mnie w kierunku furty, za którą mieści się już wcześniej wspomniane miejsce kaźni. Jestem prawie przekonany, że to już koniec, że będę rozstrzelany. Jednak gdy przechodzimy w pobliżu gmachu, skręcamy nagle i schodzimy do suteryny, do ambulatorium przy szpitalu

polowym. Oddycham z ulgą i ogromną radością. Nareszcie udzielą mi pomocy medycznej, opatrzą ranę głowy i uda. Tymczasem każą mi usiąść na krześle. Podchodzi lekarz, podwijają mi rękaw i zamiast opatrunków pobierają krew. Nie pamiętam jak długo to wszystko trwa, bowiem tracę przytomność. Budzi mnie szarpanie i tradycyjne pokrzykiwanie. Z trudem się podnoszę, gdyż jestem bardzo osłabiony. W korytarzu pozwolono mi nareszcie napić się wody. Z powrotem wracamy na wartownię. Siadam na swoim miejscu i zaczynam rozmyślać o ucieczce. Na wartowni nasila się zamieszanie, spowodowane prawdopodobnie odgłosami zbliżającego się frontu. Na dobrą sprawę nikt już się mną nie zajmuje. Tak dotrwałem do wieczora i gdy robi się zupełnie ciemno proszę o pozwolenie na wyjście za swoją potrzebą. W pobliżu nie widać nikogo. Wiem, że obok w murze jest zarośnięta krzewami dziura po pocisku artyleryjskim, jeszcze z trzydziestego dziewiątego roku. Nagle olśniewająca decyzja – uciekam. Ostatni rzut oka, czy droga wolna i susem do dziury. Błyskawicznie przedzieram się przez zarośla i wreszcie jestem za murem. Rozsadza mnie radość. Pośpiesznie czołgam się pod murem, aby jak najdalej od wartowni. Teraz muszę jedynie uważać na żołnierzy patrolujących tę okolicę. W końcu po długim czołganiu i skradaniu się docieram do domu. Jestem uratowany, szczęśliwy, lecz strasznie wyczerpany.

Wkrótce, po krótkich i zaciętych walkach, Siennica jest wolna od Niemców, chociaż znowu płonie. Główna bitwa pancerna odbywa się niedaleko za Siennicą. Na kolumnę pancerną wojsk radzieckich, zmierzającą w kierunku Mińska, uderza spóźniony oddział czołgów niemieckich. Obraz po bitwie wstrząsający: porozwalane maszyny, sterczące z ziemi samotne kadłuby żołnierzy niemieckich – bez rąk i nóg.

Natychmiast w sąsiedztwie Siennicy powstają trzy lotniska radzieckie. W gmachu gimnazjum powstaje ogromny szpital polowy. W chłodni naszej wytwórni jest magazyn i sortownia krwi ludzkiej przeznaczonej dla rannych. Przez chwilę pomyślałem, że podobnie mogła być użyta moja krew, pobrana mi przez Niemców.

W tym czasie najsmaczniejsze są napoje prosto z maszyny. Stąd ranni żołnierze ze szpitala tłumnie garną się do wytwórni, często o kulach, bądź czołgając się po ziemi.

W dwóch pomieszczeniach naszego domu działa wojskowy dentysta, obsługujący w zasadzie wszystkich, którzy się do niego zgłoszą.

Po tych wszystkich przeżyciach, w złym stanie zdrowia, wyjeżdżam do szpitala w Rudce. Słyszę jak furman, który mnie odwozi, mówi szeptem do mojej mamy – „chyba już ostatni raz go odwożę”. A jednak na przekór wszystkiemu jeszcze żyję.